



Wojciech Świdziniewski  
Maja Lidia Kossakowska  
Jarosław Grzędowicz  
Krzysztof Kochański  
Alexandra Pavelková  
Andrzej Drzewiński  
Andrzej Ziemiański  
Łukasz Orbitowski  
Andrzej Sapkowski  
Szczepan Twardoch  
Alastair Reynolds  
Eugeniusz Dębski  
Tomasz Pacyński  
Robert J. Szmidt  
Milena Wójtowicz  
Miroslav Žamboch  
Magdalena Kozak  
Witold Jabłoński  
Andrzej Pilipiuk  
Andrzej Zimniak  
Jewgienij Łukin  
Aneta Jadowska  
Anna Brzezińska  
Romald Pawlak  
Rafał W. Orkan  
Marcin Mortka  
John Everson  
Adam Cebula  
Kirył Jeskow  
Jacek Inglot  
Jacek Dukaj  
Ondřej Neff

## **ONI JUŻ U NAS BYLI, A TY?**

Fahrenheit to najstarsze polskie czasopismo internetowe poświęcone literaturze fantastycznej. Znajdziesz tutaj uznanych autorów oraz debiutantów, ich opowiadania, powieści, publicystykę, a także recenzje, quizy i aktualności.

**[www.fahrenheit.net.pl](http://www.fahrenheit.net.pl)**

Wielkie zamieszanie wokół ochrony tak zwanych własności intelektualnych, które zaczynają się na naszych oczach ślicznie oddzielać od praw autorskich, dotyczy głównie zagadnień cenzury Internetu, wolności słowa, naruszania swobód obywatelskich i temu podobnych „górných” problemów.

Niestety, tkwi we mnie kawał zabitego liberała, zatwardziała kapitalistyczna dusza, która dostrzega problemy chyba o wiele bardziej zasadnicze i o wiele mniej ulotne. Chodzi o to, by po prostu żyć na czyjś koszt.

Diabli wiedzą, dlaczego krótszy wcześniej okres ochrony autorskich praw majątkowych został ostatnio wydłużony do 70 lat od śmierci twórcy. Można wskazać, co z tego wynika: że np. twórca przez całe życie może domagać się kasy za to, że kiedyś coś wytworzył. Dobrze? Jako incydentalny twórca mogę powiedzieć: No... I niedobrze. Bo państwo musi się tym zajmować. Pajac, który napisał coś bardzo głupiego, może się jeszcze przez dziesięciolecia sądzić o - na przykład - przekroczenie prawa do cytatu, o naruszenie władzy nad utworem i tak dalej. Zaś facet, który zwyczajnie nie dostał kasy od wydawcy, będzie sobie czekał, aż sąd znajdzie dla niego czas. Być może do u... śmierci. Bo ważniejsze są sprawy o piractwo.

Warto zauważyć, że tak zwane społeczeństwo, które - jak się zdaje - jest suwerenem, ustalającym prawa, powinno je stanowić tak, by nie naruszały jego społecznego interesu. I tak, na przykład, prawo autorskie powinno zachęcać do pisania. A, na przykład, zniechęcać do sądzenia się. Twórcy powinno się opłacać tworzenie. W tak zwanym dobrze pojętym interesie społeczeństwa.

Komu służy ochrona przez 70 lat po śmierci autora? Owszem, znajdziemy takich: to posiadacze majątkowych praw autorskich. Nie twórcy, nawet nie spadkobiercy. To ktoś, kto nabył owe prawa. Kto jeszcze? Politycy. Jeśli wydawnictwa posiadają tak zwane prawa, mogą udawać, że mają aktywa. W sumie daje się to różnymi metodami przekuć na liczby ze znakami walut, na końcu na wyższy majątek narodowy, co, przy katastrofalnych długach publicznych, może poprawiać społeczne samopoczucie, bo odrobinę nam poprawia stosunek „winien” do „ma”. Tak, prawa autorskie mogą poprawić notowania w wyborach. Faktyczny twórca, powtórzę raz jeszcze, czeka w kolejce na posiedzenie sądu, by odzyskać część z tego, co mu jest winne wydawnictwo, które w międzyczasie zbankrutowało. Właściciel wydawnictwa głupcem nie jest, by płacić. Twórca, teoretycznie chroniony rozbudowanym prawem, chce unieważnienia umowy, by odzyskać prawo nawet nie do czerpania zysku, ale choćby zamieszczenia w Internecie za friko utworów, na które podpisał umowę wydawniczą, a wydawca zrobił go w bambuko. Twórca chce zmusić portal internetowy posługujący się jego zdjęciami, by przynajmniej podpisano je jego nazwiskiem. Tak to wygląda w realu.

Jak nas pouczano, w umowie ACTA chodzi głównie o ukrócenie patologii społecznych wynikających - na przykład - z produkowania w zakładach kontrolowanych przez tak zwaną zorganizowaną przestępczość tak zwanych podróbek. Bardzo poważny i przekonujący argument. Trudno być przeciw, prawda?

Akurat, jak mi się wydaje, w tym miejscu najlepiej widać, o co tak naprawdę chodzi i czym to wszystko grozi. Czy ktoś słyszał, by mafia zajmowała się fałszowaniem - powiedzmy - masła, poprzez mieszanie go z olejem? Owszem, ciągle robią to sieci handlowe, zakłady, co jakiś czas nadziewamy się na „masełko” będące margaryną. Ale... to nie jest problem społeczny, międzynarodowy i tak dalej. Klient po spróbowaniu leci z pyskiem do sklepu, sprzedawca opieprza hurtownika, hurtownik producenta. Wystarczy ciut uważniej czytać opakowania i społeczny problem piracenia masła znika.

Dlaczego mafia „wchodzi” w „podrabianie” tak zwanych markowych portek, a masło i machloje na nim zostawia legalnym producentom? Dlatego, że ceny owych „markowych” portek zostały wywindowane... administracyjnie. Jedyny powód jest taki, że państwo swoją powagą ustala, co jest markowe, a co nie. Jakość portek podrabianych albo niewiele się różni od oryginału, albo nawet bywa lepsza. Cena nie ma nic wspólnego z jakością, z ilością materiałów, które zużyto, tylko z posiadaniem państwowego zezwolenia na legalność, czy raczej „legalność oryginalności” towaru.

Wtórą sprawą jest to, że (zapewne) mamy grupę osób, która życzy sobie, by produkt był „markowy”. Pierwotną jest to, że cenę windowuje państwowe zezwolenie. Przez nie firma kasuje dochody znacznie przekraczające to, co mogłaby zarobić, gdyby sprzedawała na zupełnie wolnym rynku. Jest to w sumie zwykłe promowanie udawania, snobowania, wynoszenia się ponad innych. Istotną sprawą jest też to, że promuje się prymat administracyjnie uznanych cech towaru nad jego fizycznymi własnościami.

Ależ oczywiście, jeśli ktoś podrabia naszywkę, czy ozdabia portki napisem „ludząco podobnym” do oryginału, jest to jakieś świństwo. Aliści, klient bynajmniej nie działa tak, jak w przypadku „masełka”, wietrząc podejrzliwie, czy aby to nie margaryna. Dlaczego? Bo jakość produktu odpowiada jego cenie i oczekiwaniom nabywcy. Można zapytać, czy na przykład sprzedawałyby się wierne kopie „Rolexa”, które klient otrzymywałby w pudełku z napisem „kopia Rolex”? Albo czy szłyby dobrze portki z wszywką, na której, po drugiej stronie, byłoby napisane „prawdziwy pirat”? Ależ... Kwestia ceny. Dość niskiej.

Warto porównać ochronę „brandu” masła i znanej marki portek. Różnica jest taka, że masło jest konkretnym produktem. Sprzedawanie margaryny zamiast masła jest ewidentnym narażaniem na straty hurtownika, potem sprzedawcy, a w największym stopniu klienta. To ewidentne oszustwo, w którym wciśnięto coś gorszego w miejsce lepszego. Ściganie takiego procederu jest bezdyskusyjne. Jeśli ktoś zaoferuje wyrób „identyczny z naturalnym”, to powiedzmy od razu: nie będzie on identyczny.

Zauważmy, że ściganie producentów „masełek” po pierwsze jest chyba dość skuteczne, po drugie - nie wymaga zaangażowania państwowej machiny, międzynarodowych umów, przekonywania społeczeństwa i tak dalej. Podrabianie masła nie jest żadną sprawą społeczną, ekonomiczną, czy podobnej ekskluzywności. Choć proceder może przynieść realne i niekwestionowane straty, „nie ma sprawy”.

W przypadku portek może być tak, że markowe i niemarkowe pochodzą z tej samej dalekowschodniej fabryki, niemarkowe bywają nawet lepsze, a różnią się tylko tym, do kogo wpływa zysk, no i oczywiście ceną.

Ależ oczywiście, posługiwanie się cudzym znakiem handlowym jest be, podrabianie cudzego wzoru użytkowego nieładne, ale - poza owym wzorem i znakiem - to nie jest różnica taka, jak pomiędzy masłem i „masełkiem”. Legalna fabryka nie oferuje niczego ponad pozór luksusu, czy określonych cech towaru, jak w przypadku dzinsów „wycieralności”. Koncern chce od nas kasy za to, że jest tym koncernem, a nie innym. Ot i tyle. Jest to wartość wygenerowana administracyjnie, właściwsze chyba jest słówko: „wydmuchana”. W momencie, gdy zakaz tworzenia „prawdziwej podróbki” zniknie, okaże się, że produkt markowy i „pirat” mają takie same cechy, że nie da się ich odróżnić i nie da się nimi nawet specjalnie chwalić. Ceny się zrównają, dmuchany biznes zniknie. Możemy oczekiwać, że pozostanie zdrowa konkurencja w oparciu o jakość towaru, o obsługę klienta. Ludzie będą w takich warunkach pilnować autentyczności marki, tak, jak pilnują autentyczności masła. Bo to się im będzie bardzo opłacało. Jak prawdziwe masło, tak „markowe” portki będą oferowały odpowiedni stosunek jakości do ceny. Niestety,

producentom będzie mniej fajnie niż teraz. Będą musieli stosować dobre materiały i technologię. Zysk jeden tylko taki, że ich przewaga nie zniknie w momencie wejścia Partii Piratów, czy innych niespodziewanych zawirowań prawnych. Zostaną zmuszeni po prostu do bycia realnie solidną marką...

Kolejną odsłoną tej zabawy jest działalność „patentowych trolli”, czyli firm, które ewidentnie żerują na społeczeństwie. Wyszukują one producentów, których rozwiązania są podobne do jakichś patentów - zwykle chodzi o coś, co w naszym prawie patentowym uznawane jest za rozwiązanie banalne lub oczywiste. Bardzo często chodzi o coś albo powszechnie znanego, albo nawet opatentowanego przez ofiarę. Zazwyczaj - po znalezieniu bogatego producenta - „troll” nabywa od wynalazcy, nieświadomego gry w jakiej uczestniczy, patent za marne pieniądze i pozywa firmę do sądu. Działalność ta w USA doczekała się już prawnej klasyfikacji, nikt nie kwestionuje dramatycznej szkodliwości procedury, dość dobrze wiadomo, jak zmienić prawo, by go drastycznie utrudnić i... ciągle mamy kolejne przykłady takiego rabowania społeczności.

Konkluzja jest taka, że zawsze istnieli ludzie, którzy mają ochotę być bogaci z urodzenia, teraz natomiast doszły do nich firmy i instytucje. W swoim czasie wykształciła się klasa arystokracji, której z boskich wyroków należało się posługiwanie przez niearystokratów. I obecnie ludziom marzy się coś podobnego, kasa za pochodzenie, za to, że kiedyś coś się wymyśliło, że kiedyś się produkowało bardzo dobry towar.

Istotą jest stworzenie świata wartości pozornych, jak markowe portki, własność intelektualna polegająca na dobraniu wielkości ekranu i układu przycisków, wyliczanie wartości znaku towarowego, uzurpowanie sobie wyłącznych praw do utworów, czy nawet postaci literackich.

Mamy szaleństwo - pomysł na odtworzenie klasy posiadaczy. Pół biedy, że wnuczek ma być bogaty z urodzenia, bo dziadek napisał coś poczytnego. Sprawiedliwe czy nie, pewnie nas to nie zrujnuje. Bieda, gdy z urodzenia ma być bogate całe wydawnictwo, a łapę wyciąga jeszcze dystrybutor. Kiedyś „dziesięcina” była synonimem zdzierstwa i chciwości, dziś podatki wcinają nam połowę zarobku, a tu jeszcze po pieniądze zgłaszają się tak zwani właściciele praw.

Takie jest to nieszczęście. Część musi zasuwać, martwić się, skąd wziąć kolejne zlecenia, a część wymyśla, jak nic nie robić.

Kto wie, czy jeszcze większym niebezpieczeństwem nie jest okoliczność, że działania te generują majątek, który pojawia się tylko w statystykach. Firma na pierwszy rzut oka dysponuje wielkim majątkiem, a jak się przyjrzymy bliżej, może się okazać, że trzy czwarte to jakieś papiery. Wystarczy teraz, by w innym - w szczególności dalekowschodnim - kraju tych papierów nie uznano, a całość może wyparować tak, mniej więcej, jak wyparowywały majątki amerykańskich banków w momencie, gdy zaczął się kryzys. Z ogromnego koncernu City Group, o ile mnie pamięć nie myli, zostało 0,56 procenta początkowej wartości. Jeśli nie jestem w błędzie, „ajpod” od Apple'a w Chinach jest sądownie uznany za nielegalny...

Dziś ekonomiści, politycy, przedsiębiorcy, ludzie związani z gospodarką na różne sposoby są raczej zgodni, że przyczyną kryzysu było tworzenie pozorów. Produkcja papierów, a nie towaru. Nikt chyba nie ma wątpliwości, że sposobem na zażegnanie kłopotów jest realna produkcja. Polska, prawdopodobnie jednak głównie dzięki zacofaniu systemu bankowego, zdaje się być dość dobrym przykładem na to, że choćby składanie wiązek przewodów do samochodów jest lepsze niż tak zwane inwestowanie w banki udzielające pożyczek budowlanych.

Sednem awantury o ACTA jest dostępność tak zwanych treści. Nie wiem,

czy paradoksalnie, lecz jakoś nie boję się tak zwanej cenzury w Internecie. Twórcy dokumentu chcą akurat kontrolować rozpowszechnianie czegoś, co moim zdaniem jest dość obojętne dla sfery nazywanej powszechnie kulturą. Za rozpowszechnianie niektórych filmów, czy gier komputerowych należałoby karać na początek twórców i dystrybutorów. Niezależnie od tego, jak rozpowszechniają. Ich zablokowanie przyniosłoby raczej wiele dobra, nie szkody.

Nie sądzę też, by realnie udało się kontrolować przepływ informacji w Internecie. Zwłaszcza takich, które dotyczyłyby tworzenia nowych ruchów politycznych, organizowania manifestacji, nawet niesławne „ściągnięcie”, jak widać z dotychczasowej historii, pomimo tego, że związane z przesyłaniem wielkich plików, jest praktycznie nie do opanowania. Kontrola sieci komputerowych jest technicznie niewykonalna.

Niestety, bardzo łatwo popsuć. Łatwo zamienić śmigającą, wydajną maszynę w coś zacinającego się, zgrzytającego, niewydajnego. Problem w tym, że pomysły, jak przerabiać licencje, „różne własności intelektualne”, opierają się na psuciu technologii służących do wymiany informacji. Programom komputerowym montuje się mechanizmy „samoniszczące”, czy też ukrywa się dokumentację poprzez na przykład trzymanie w najgłębszym lochu tak zwanych wersji źródłowych oprogramowania. Próby poznania, jak coś działa, nazywa się „odwrotną inżynierią”, co ma brzmieć w obowiązującej nowomowie mniej więcej jak „terrorizm”.

Można łatwo popsuć i zniszczyć. Nie wiem, czy organizatorzy akcji publicznego rozjeżdżania za pomocą walców drogowych „podrobionych” zegarków oraz konsoli do gry zdawali sobie sprawę z tego, co ilustrują takim spektaklem. Patrzyłem i myślałem sobie: oto świat zbzikował. Ukazuje się nam to jako wykwit szacunku dla intelektu, a czymże może się różnić ta demolka od palenia zboża i rozwalania domostw przez sąsiadujące ze sobą dzikie niby plemiona? Tak, ja to rozumiem, ale jako odwieczne wzajemne szkodzenie sobie nawzajem przez ludzi. To tak samo zrozumiałe, jak bombardowanie Warszawy przez Niemców podczas II Wojny Światowej. Ale też trzeba na głowę upaść, by próbować przedstawiać to jako przejaw szacunku do kultury.

Porozumienie ACTA wpisuje się w ten nurt „intelektualny”, jest próbą realizacji pomysłów na urządzenie świata typu: jak nam wadzą sąsiedzi, to podpalimy ich domy i zbiory albo rozjeździemy walcem to, czym chcieli handlować.

Cynicznie dodam coś jeszcze. Dopóki należeliśmy jako kraj do, powiedzmy, towarzystwa dominującego nad światem, to najwyżej można było się oburzać amoralnością takiego postępowania. Niestety, sytuacja się zmieniła. Sąsiedzi zaczęli produkować dużo kukurydzy i tak tanio, że sami ją od nich kupujemy, choć uważamy, że zysk z handlu nam się należy. Niestety, nasi poborcy podatków zostali obici kijami i wyrzuceni z ich wiosek. Państwa występujące do tej pory w roli właścicieli świata spadły na niższą pozycję. Powodem – w ogromnej mierze, a być może jedynym – jest to, że ten obszar świata przez ostatnie ćwierć wieku, a może i dłużej, zajmował się produkowaniem POZORÓW własnej wielkości.

Elementem tej akcji było przydawanie cech towaru informacji, która jak towar nie wygląda. Bardzo źle sprawuje się jako towar. Jakkolwiek w swym szaleństwie posunęliśmy się dalej, bo chcieliśmy towarem uczynić obietnicę, że na przykład bank zarobi na kredytach, ale z informacją sprawa jest o tyle niebezpieczniejsza, że mnóstwo ludzi już wierzy, że można się nią posługiwać jak towarem i jak się ma na składzie informację, to ma się „majątek”.

Jak widać, takie kraje, jak Chiny, Brazylia, Indie, a nawet Rosja, mogą zwyczajnie

machnąć ręką na porządki, jakie niosą pomysły typu „własność intelektualna” i okaże się, że nie mamy im nic do zaoferowania, bo nasz „towar” potraktowali jak informację, my zaś chcemy od nich skarpety, buty i ropę naftową.

Tak to po mojemu wygląda: mamy kolejną próbę ustalenia porządku, w którym komuś coś się z urodzenia należy. Firmy mają sprzedawać bardzo drogo informację, a tego, by interes się kręcił, ma pilnować państwo, często kosztem wielokrotnie przewyższającym zyski. To organizacja społeczeństwa przypominająca mieszankę feudalizmu z komunizmem: administracyjne ustalanie cen i działanie na rzecz nielicznej grupy właścicieli, którym się należy ze względu na dziadka, albo na to, że wykupili „patent na szlachectwo” swojej firmy.

Czym to grozi? Chaosem. Dowcip w tym, że pazerność pogania ludzi do rozszerzania praw wynikających ze szlachectwa ponad granice absurdu. Oto usłyszałem już o co najmniej drugim wyroku sądu za popełnienie plagiatu poprzez wykonanie podobnego zdjęcia. Za chwilę posadzą kogoś za to, że napisał kolejną książkę o nieszczęśliwej miłości albo kryminał, w którym detektyw szuka zabójcy... Ten system zje się od środka.

Nie wiem, czy nie mocniej martwi mnie inna obserwacja. Choć poprzedni przykład może się wydać bardziej niepokojący, to jednak absurdalność sytuacji zapewne spowoduje, że ludzie się zmobilizują i absurdy zatrzymają. Tu mamy jednak coś, co trwa w najlepsze i znajduje tłumy obrońców. Otóż handel oprogramowaniem od dawna już nie budzi żadnych kontrowersji. Prawda? Pogodziliśmy się z tym, że dostawca daje nam kod maszynowy, że właściwie nic z tym kodem nie możemy i tak dalej. Tymczasem istnieje Wolne Oprogramowanie. Istnieje na przykład firma Red Hat, ale też wiele innych, które zajmują się tymże Wolnym Oprogramowaniem. Jakim cudem da się zarabiać na czymś, co nie tylko można za darmo pobrać z internetu, ale czego sednem jest fakt, że kod źródłowy jest dostępny? Jakim cudem na przykład system operacyjny Linux w praktyce okazuje się o niebo bezpieczniejszy od systemów zamkniętych? Przecież każdy może zobaczyć, jak to jest zrobione i kombinować, jak złamać. Otóż znane są przykłady tego, jak bywały zabezpieczane komercyjne produkty. W jednym z nich, którego nazwa jest synonimem pakietu biurowego, wprowadzono szyfrowanie dokumentów. Dowcip w tym, że „zaszyfrowane” teksty wystarczyło wczytać do innego programu typu notatnik, a tam widoczny był i dokument, i hasło zabezpieczające. Takich „kfiatków” jest całe mnóstwo w „profesjonalnych”, rozprowadzanych z groźnie brzmiącymi licencjami, programach.

Konkluzja jest taka: dzięki „zamknięciu” dostępu do kodów źródłowych nigdy się nie dowiemy, jakie babole posadzili tam programiści. W szerszym rozumieniu, ochrona własności intelektualnych działa na rzecz konserwacji bardzo złej jakości, nieróbstwa i niekompetencji.

W chwili gdy kończę pisać ten tekst wydaje się, że szaleństwo zostało zatrzymane. Musimy jednak pamiętać, jakie demony siedzą gdzieś u podstaw całego pomysłu. Ludzie zawsze chcieli uzasadnić, że inni muszą na nich pracować. Zawsze chcieli kupować szlacheckie patenty, zawsze wyobrażali sobie, że pełne szkatułki upoważniają do łupienia innych, bo na przykład oni potrafią gospodarować, a inni – skoro biedni – najwyraźniej nie. Tak naprawdę chodzi o to, by uzasadnić dlaczego ja mam być bogatym i nic nie robić, a ty masz na mnie zasuwać za miskę zupy.

Kiedy protestuję przeciw ACTA, to o wiele bardziej chodzi mi o utrzymanie elementarnego porządku: jesz, jak pracujesz, jak udajesz – dostajesz figę. Jesteś twórcą, jak tworzysz, uczniem, jak się uczysz. Po prostu elementarny porządek: studenci do skryptów, pisarze do piór, a pasta do butów.